



Adam Cebula „Temat polityczny”

nimfa bagienna



Foto: Adam Cebula

Wakacje o krok, więc Adam Cebula dryfuje po meandrach edukacji, jako też Rzeczypospolitej władania. Podryfujmy przez chwilę razem z nim.

Polityka, mam wrażenie, już od dawna każdemu przelewa się uszami. Jak się w tiwi pojawia dwójka piesków z przeciwnych politycznych opcji, mająca w założeniu prowadzić merytoryczną dyskusję, natychmiast przełączam kanał. Wiem, że zaraz usłyszę wrrr i hau, że nawet gdybym się bardzo starał, nic z tego nie zrozumielem, choćby dlatego, że naprawdę chodzi o awanturę; i ta awantura wybuchnie, i będzie mniej więcej tak pouczająca, jak mordobicie pod budką z piwem. Po chwili szanowni dyskutanci zaczną sobie skakać do oczu, jednocześnie wrzeszczeć, nie zrozumiesz słów, nie doczekasz się jednej dokończonej kwestii. Tym bardziej że zamiast argumentacji użyje się wojennej propagandy. Ot i prosty powód: wystarczy zahaczyć o politykę, by stracić czy to widza, czy czytelnika.

Tym większa moja polityczna niepoprawność, że w piśmie omijającym szerokim łukiem wszelkie polityczne tematy, postanowiłem napisać „co tam panie w polityce”. Tak, Chińczycy się mocno trzymają. A wybory wygrał budzący grozę PiS. I co? Jakby nic. Wygląda na to, że niewyobrażalna zmiana, po której świat miałby się wyrzucić do góry nogami, ludzi nie rusza. Owszem, nieco się interesują czy skapnie wiadome pięć stówek, czy nie, lecz poza tym chyba wieje powszechnym znudzeniem politycznymi awanturami.

Owszem, jest jedna sprawa, którą chciałbym rozgrzebać; mam wrażenie interesująca dla nas, entuzjastów różnych „Rakietowych szlaków”. Nie da się jej rozpatrzyć bez fantastyczno-naukowego tła. Jest nią, jak to się w humanistycznych dziełach pisze, stosunek do modernizmu. Jeśli myślimy futurologicznie – a futurologia wyrosła z fantastyki – zawsze musimy się zająć tym, zwykle jednym z najważniejszych w naszych czasach, konfliktem: jedni chcą, jak to się mówi, zachowania tradycyjnych wartości, a drudzy elektryfikacji wsi.

Ano właśnie... ów konflikt, bywało, dotyczył spraw zasadniczych dla postępu cywilizacyjnego. Rozwijająca się technologia, niejako przy okazji, przypadkiem rozwalala istniejące układy społeczne, unieważniała święte obyczaje, posyłała owe tradycyjne wartości na śmietnik historii. Z tegoż powodu coś, co z ideologią nie miało nic wspólnego, co przynosiło oczywiste gospodarcze korzyści, bywało atakowane z furią religijnego ognia. A tak, walczone w ten sposób z prądem elektrycznym i koleją żelazną, którym przypisywano wszelkie plagi – od głębokiej demoralizacji społeczeństwa zaczynając, a na utracie mleka przez krowy kończąc.

Bez trudu możemy wskazać współczesnego chłopca do bicia, czyli dziecko technologii: komputer czy telefon komórkowy, tak zwany smartfon, co ponoć uwstecznia w rozwoju umysłowym i uzależnia. Dzisiejszym szatanem niosącym wszelkie plagi jest Internet. Gdy ktoś pisze o tej sieci komputerowej, to na oko w 9 przypadkach na 10 jako o globalnym nieszczęściu i przyczynach upadku nieletnich dziewczyc, a ten jeden pozostały tekst w najlepszym razie traktuje, jak praktycznie chronić się przed zagrożeniami. O tym, że za pomocą Internetu można ściągać wolne oprogramowanie, że udostępnia on praktycznie całą współcześnie tworzoną wiedzę, że rozwiązuje tysiące problemów, czasami tak egzotycznych jak zakup kaset do aparatu wielkoformatowego, nikt nie wspomina.

Współczesność w publicystyce jawi się jako jedno wielkie zagrożenie. Przeszłość jest sielska, choć nikt nie wspomina, że banalne skaleczenie w czasach, gdy nie były znane antybiotyki, zawsze mogło się skończyć śmiercią.

Jednak lata edukacji zrobiły swoje i dziś już nikt nie odważy się twierdzić, że chodzenie do szkoły i nauka jest złem. Jeśli jest o czymś dyskusja, to o tym, jaka to ma być nauka.

Gdy byłem młodym entuzjastą podróży na Księżyc, nie miałem wątpliwości: poziom kształcenia musi rosnać. Nie miałem wątpliwości, że coraz większe znaczenie muszą mieć nauki ścisłe i techniczne. Takim prostym pociągnięciem sprowadzamy politykę do fantastyki naukowej. Programy nauczania miały być – wedle mojego wyobrażenia – pragmatyczne, nakierowane na możliwie największą skuteczność potencjalnych absolwentów w rozwiązywaniu kosmicznych problemów owej przyszłości, którą przedstawiano choćby na filmie „Odyseja kosmiczna 2001”.

Jednym z pierwszych ruchów nowych władz po upadku komuny w 1989 roku było obniżenie wymagań w stosunku do tychże niechcianych ścisłych przedmiotów. Kolejne reformy doprowadziły do stanu dzisiejszego, gdy już właściwie nikt nie kwestionuje faktu, że poziom kształcenia w jakiegokolwiek dziedzinie, bez podziału na nauki humanistyczne czy ścisłe, zwyczajnie poleciał na pysk.

W tym stanie rzeczy zapowiadanej reformie oświaty, jaką chce przeprowadzić PiS, chciałbym kibicować. Jeśli miałyby się coś udać, na pewno nie ma co przeszkadzać. Nie ma co rżnąć głupa, wykształcenie było atutem Polaków, jednak już nie jest. Tak samo jak już nie jest tak wielkim atutem jak dawniej posiadanie języków, jedyna dziedzina, w której poziom się wyraźnie podniósł, lecz tylko pod tym warunkiem, że mówimy o angielskim.

Czy zlikwidowanie gimnazjów podniesie poziom kształcenia? Jest poważny argument: poziom w tych szkołach jest kiepski. Gdybyśmy zechcieli wywindować poziom programów nauczania w liceach, to w

obecnych trzech latach nie zmieści się program czteroletni, który obowiązywał za „dawnych czasów”. Nie można także windować programu nauczania w ostatniej klasie gimnazjum, bo absolwenci tych szkół nie w całości idą do liceów, nie wszyscy temu podążają. Poza tym mamy po prostu stan zastany: podstawówka jaka była, zatem słabe gimnazja i licea muszą się dostosowywać do ich poziomu.

Jakkolwiek... jeśli mnie pamięć nie myli, to celem wprowadzenia obecnego systemu było podniesienie poziomu nauczania. Bardzo dobrze umotywowane. Mianowicie po skończeniu sześcioletniej podstawówki dzielimy uczniów na mocniejszych i słabszych. Mocniejsi idą do lepszych gimnazjów, no i wilk syty, i koza cała, wszyscy dostają świadectwa i są zadowoleni.

Wyszło jak musiało. Jak zwykle.

O podejściu PiS-u do reform szkolnictwa chciałoby się za starym kawałem rzec, „oj juhasie, wy nie chcecie reformować, wy chcecie po mordzie dostać”. Albowiem nieuchronnym skutkiem jest już mający miejsce konflikt z liczącą kilkaset tysięcy społecznością nauczycieli.

Jednak z punktu widzenia miłośnika podróży na Księżyc istotne jest co innego: czy aby są szanse na jakieś pozytywne zmiany?

Jakie mieli nadzieje twórcy gimnazjów – nie wiem, lecz nie sądzę, by ich celem było obniżenie poziomu kształcenia. Chcieli dobrze, to raczej pewne. Podobnie jak chcą ci, którzy proponują je wygaszać.

Aliści obawiam się, zakładając, że skoro dla podniesienia poziomu kształcenia da się uzasadnić zarówno tworzenie, jak i likwidacja gimnazjów, nie tu pies pogrzebion i cała operacja nie ma związku z tym, co w łepetynach zostaje.

Chodzi o to, że społeczeństwo zawłaszczyło szkoły – jak to w demokratycznym kraju. Stało się wręcz ich zarządcami. Wypłaca politykom idąc na wybory. Jeśli podkrećmy poziom, jeśli któreś wiosny na maturach rypnie nam połowa egzaminowanych, rząd, który zaserwował reformę, będzie miał prze... Każdy sobie dopisze wedle uznania.

Jak to działa, można było zaobserwować za szefowania MEN-wi przez znakomitego adwokata, Romana Giertycha. Wielekroć już pisałem: chodzenie do szkoły i nauka, są jednym z najcięższych przeżyć człowieka. Trauma, jaką sprawia zetknięcie się z książkami, jest tak wielka, że ludzie gotowi są na poświęcenia, by tego uniknąć. Akceptują ten wysiłek nieliczni, i to jedynie w sytuacji, gdy są absolutnie przekonani, że innej drogi nie ma.

Można (złośliwie?) powiedzieć, że na ustawienie w szkołach wysokiego poziomu kształcenia mógł sobie pozwolić jedynie taki reżim, jaki stanowiła komuna. Warto tu dodać, że przymus nauki nie rozsądził systemu jedynie na skutek bardzo sprzyjających okoliczności. Jedną z zasadniczych była wojna, wraz z nią okupacja hitlerowska, która ograbiła ogromną część ludności ze wszystkiego. Większość ocalonych z pożogi II wojny światowej musiała rozpoczynać życie od początku. Układy towarzyskie, handlowe, kariery robione przed 1939 rokiem straciły jakiegokolwiek znaczenie. Jedynym sposobem na ustawienie się w nowej rzeczywistości było zdobycie wykształcenia. Dodać trzeba, że zwłaszcza w zawodach technicznych nie chodziło o dyplom czy świadectwo, ale o posiadanie faktycznej wiedzy. W czasach ekonomicznej urawniłowki jedyne, co człowiek mógł, to – jak górnolotnie mawiamy – być. Bycie wymagało wszelkiej wiedzy, odczytania w pismach humanistów, rozumienia przedmiotów ścisłych. To „bycie” dla lwiej części ludzi było wyrazem oporu przed degradującym działaniem systemu komunistycznego. Chętnie się uczyli, aby dać czerwonym w kość. To były okoliczności, dzięki którym opór przed kształceniem był słaby.

Z powodu upadku komuny ludność ma dziś wiele znacznie przyjemniejszych zajęć niż kształcenie się.

Można jeszcze zadać pytanie, jak w warunkach demokracji realizowano wysoki poziom kształcenia na Zachodzie? Nie wiem. Widać tyle, że gdzieś tak do początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku nakłady na naukę były tam wysokie, był szybki postęp w różnych technologiach. Jak zawsze piszę – symbolicznym gestem było zamknięcie misji Apollo. Gdy stało się oczywiste, że czerwoni przegrali ogłoszony przez Chruszczowa wyścig technologiczny, ludzie z Zachodu stracili napęd do książek.

Z tego punktu widzenia majstrowanie przy organizacji systemu kształcenia ma raczej niewielkie znaczenie. Zasadniczą sprawą jest zrozumienie tego, po co się do szkoły chodzi. Albo przynajmniej część ludzi rozumie powody, dla których nosi się teczki z książkami, albo traktuje się to jak coś nie do końca potrzebnego, niezrozumiałego, co można obejść jakimiś sposobami, co nie służy temu, czemu naprawdę służy. W tym drugim wypadku zawsze jest katastrofa.

Mam swoją teorię, dlaczego na Zachodzie w okresie zimnej wojny pomimo panowania demokracji udało się ludzi nagonić do szkół. To było po wystrzeleniu sputnika. Wiele razy o tym pisałem: na polityków padł błąd strach. Nauka ukazała swą prawdziwą moc. Abstrakcyjna matematyka, technologia obróbki, fizyka, chemia i inżynieria połączone jak najbardziej niemożliwy do zakwestionowania skutek. Skoro na orbicie znalazł się satelita, bez problemu mogła tam dotrzeć i głowica atomowa.

Doświadczenie było proste: jeśli będziemy głębsi od „nich”, to możemy zginąć. Nie ma tu miejsca na żadne kombinowanie, wykręcanie, a tym bardziej udawanie: uratować nas może jedynie twarda wiedza, sprawdzalna i oczyszczona ze wszelkich ideologicznych naleciałości, taka, jaką oferuje czysta nauka. Zabawna umiejętność poróżniczowania sobie, romantyczne marzenia Ciołkowskiego o lotach w kosmos zamieniają się w jak najbardziej realną metalową kulę pędzącą nad naszymi głowami.

Myślę, że komuniści, goniąc ludzi do szkół, mieli dokładnie taką samą pewność: wszak komuna miała swe źródło nie w klasie robotniczej, ale była produktem bardzo teoretycznie nastawionych intelektualistów.

Na mój ogląd spraw historycznych to, że Sowieci udało się wystrzelić sputnika, a Amerykanom wylądować na Księżycu, wynika z tego, że po obu stronach politycy rozumieli ten najbardziej prosty i najbardziej oczywisty wpływ nauki na nasze życie. Taki, że pozwala ona konstruować maszyny, wynajdować penicylinę, tworzyć technologie, które w dzisiejszych czasach od początku do końca władają naszym życiem. Kto zaś odstaje choćby trochę w nauce, szybko traci na znaczeniu, przepada bez ratunku.

Jaki jest stosunek platformersów, szerzej, polskich liberałów, do nauki? Mam wrażenie, że – złośliwie mówiąc – wierzą oni w praktykę wedle Lenina, postęp tworzony przy okazji produkcji, tyle że twórcą owej praktyki nie jest proletariusz stojący przy maszynie, tylko mityczny właściciel fabryki, który przecież wszystkiego dogląda i stara się zoptymalizować. Najbardziej pociągają ich rozważania o tym, jak wygrać na giełdzie, czasami interesują się, jak coś wyprodukować, a tak zwane badania podstawowe traktują jak fanaberię lewicowych elit, którą należałoby natychmiast zlikwidować.

Jaki stosunek do nauki mają poszczególni politycy mniej lub bardziej liberalni, widać po skutkach. Katastrofalne zmniejszanie nakładów, traktowanie szkół wyższych jak przechowalni bezrobotnych, stawianie nierealnych zadań, jak samofinansowanie. Generalnie w Polsce nauka jest traktowana jak nieszczęście pozostawione przez komunistów i najchętniej została by zlikwidowana jak kolej, gdyby UE nie skopała siedzenia rządowi.

Czy politycy PiS mają inne podejście? Chyba tak: ponieważ muszą się czymś różnić od tak zwanych liberałów. Obawiam się, że to jest jedyny powód – skoro tamci chcą tak, to my na odwrót. Skoro chcą likwidować kopalnie, stocznie i naukę, to my będziemy ratować.

Obawiam się, że niemal całą klasę polityczną łączy takie samo zupełne niezrozumienie roli nauki wykształcenia, szkół, poziomu nauczania w funkcjonowaniu współczesnego społeczeństwa. O tym, dlaczego ta rola, którą można sprowadzić do stwierdzenia, że to jest właściwie jedyny czynnik, który decyduje o tym, jak żyjemy, tak skutecznie ginie z oczu nawet ludzi z pozoru bardzo wykształconych, napisano opasłe tomiska i wylano morze atramentu. Ludzie, którzy decydują o kształcie naszego świata, powinni to wszystko wiedzieć. Obawiam się jednak, że zaczną myśleć dopiero wówczas, gdy nad ich głowami pojawi się jakiś nowy sputnik z pokojową misją, opcjonalnie niosący głowicę termojądrową.

Wydaje się, że mamy jasny podział sceny na ruchy modernistyczne (generalnie „anty-PiS”) i konserwatywne, czyli PiS i spółka. Ale niestety modernizm dotyczy spraw obyczajowych. Z punktu widzenia miłośnika twardej SF jest dekoracyjny. Tym bardziej jako dekoracyjny zdaje się współczesny „konserwatyzm”, bo prawicowość jawi się jako przywiązanie do niektórych przywar wyniesionych z czerwonego peerelu. Jak choćby marzenia o ingerencji państwa w to, co piszą dziennikarze, czy ciągoty do kontrolowania handlu, że wspomnę zapoczątkowaną przez niejakiego Hilarego Minca „bitwę o handel”, która w latach 1947-49 doprowadziła do wyeliminowania prywatnych sklepów. Dziwnie podobną do krucjat przeciw marketom.

Politycy i środowiska nie prezentują poglądów, a przesady. Jeśli jesteś „modernistą” i bliski jesteś liberałów, to masz walczyć z Globalnym Ociepleniem i Dziurą Ozonową. A jeżeli obracasz się w środowiskach bliskich NOP, to głośno wołasz, że to globalne ocieplenie to spisek lewaków. Wszystkich zgodnie łączy to, że nie potrafią wychwycić różnicy pomiędzy ciepłem i temperaturą, dlatego mogą jak najbardziej toczyć telewizyjne dyskusje na zadany temat, choćby wpływ człowieka na klimat. Podejrzewam, że obie strony zgodnie chciałyby spalić na stosie człowieka, który próbowałby wytłumaczyć, że na przykład zjawiska klimatyczne mają serdecznie gdzieś, co myślą bandy durniów różniących się sztyldami partyjnymi, i żadna ideologia nie ma nic wspólnego z tym, czy będzie cieplej, czy zimniej. Sputnik w kosmosie wodzom z okresu zimnej wojny uświadomił, że na pewnych rzeczach się kompletnie nie znają, i że wodzowie muszą się pokornie udać po rady do specjalistów, a nasze współczesne narodowe elity nawet sobie nie wyobrażają, że może być coś takiego, co by się w ich rozumach nie pomieściło. Nie zdarzył się żaden sputnik, więc gotowi są decydować i o elektrowniach atomowych, i o budowie sieci wysokiego napięcia, a programy nauczania to dla nich zupełnie prosta sprawa.

Trzeba się cieszyć z tego, co jest. Dobrą rzeczą jest samo wywołanie tematu, choć sposób jego opisu, jaki pojawia się w mediach, wywołuje jęk rezygnacji. Ponoć polski system kształcenia nakierowany na rozwiązywanie testów skutkuje kiepskim rozwiązywaniem zadań kreatywnych. Czyli że problem jest towarzyski lub w najgorszym razie administracyjny, w jakiś egzaminach, gdyby były, wypadlibyśmy gorzej. Jeśli wierzyć medialnym doniesieniom, to tuzy nowych władz problem fatalnego kształcenia opisują w kategoriach mniej więcej takich, jak opowiada się o za długich fryzurach uczniów i za krótkich spódniczkach frywolnych uczennic.

Niestety nie pada stwierdzenie, że jesteśmy banalnie niedouczeni. Nie chodzi o rozwiązywanie testów czy zadań kreatywnych, tylko na przykład o to, że jak w opisie czegokolwiek padnie hasło „sinus”, to nikt niczego nie zrozumie. Nie potrafimy się posługiwać elementarną matematyką (ach, dyskusje na temat procentów i słynnych punktów procentowych przy okazji sondaży przedwyborczych!), nie znamy historii, nie czytamy książek, bo nie mamy umiejętności skupienia się na tekście dłuższym niż akapit. Mam wrażenie, że młodszych po tym nowym kształceniu jest wyraźnie łatwiej oszukać przy podpisywaniu umów na Internet czy telefon, bo nie rozumieją umów.

Mam pewność, że po nowoczesnym nauczaniu informatyki pojawiają się trudności w elementarnej obsłudze takich programów jak „łord”, o „ekscelu” nawet nie warto wspominać.

Nie ma zrozumienia bardzo prostego faktu: że niedouczenie osiągnęło takie rozmiary, że zaczyna nam wyraźnie przeszkadzać w życiu.

Dobrą rzeczą jest samo wywołanie tematu. Czy jednak PiS ma szansę poprawić faktyczny poziom wykształcenia Polaków? Mogę jedynie powiedzieć, jaki jest moim zdaniem zasadniczy problem do pokonania: właśnie to zrozumienie roli nauki. Nie jako kwiatuszka w butonierce, dzięki któremu będziemy mogli się pochwalić lepszymi wynikami unijnych testów, że, co nie daj boziu, nie chodzi o robienie na przekór tej drugiej opcji politycznej, a o to, żeby dawać sobie radę w życiu. Chodzi o zrozumienie, że obecnie nauka jest najważniejszym czynnikiem kształtującym nasze życie. Za nieco dawniejszych czasów wydawało się to zupełnie oczywiste: ludzie wykształceni zawsze dają sobie lepiej radę w życiu, wykształcone społeczeństwa żyją lepiej, potrafią unikać problemów, niewykształcone popadają w zespół permanentnej biedy i byłyby dostarczycielami taniej siły roboczej, gdyby nie roboty, które takową niekiedy czynią już zupełnie niepotrzebną. Nie chodzimy do szkół dla wykazania się wynikami z testów czy zadań kreatywnych, otrzymania tytułów czy świadectw, tylko dlatego, że „scientia potentia est”, jak powiedział sir Francis Bacon. Jak się nauczymy, to my będziemy tymi, którzy wystrzelą sputnika, jak nie, to tymi, którzy z trwogą spoglądają na niebo.

Sprawa moim zdaniem jest jak najbardziej fantastyczno-naukowa. Słowo się rzekło: politycy nie rozumieją, po co się uczyć, aliści nie kumają tego i wszelkiej maści pismacy, nie kuma, mam wrażenie, szeroka masa wyborcza. Owszem, był czas, gdy istniało narzędzie do sączenia w ucho nawet zabitego humanisty wiedzy o tym, czego się spodziewać na Ziemi po lotach w kosmos. To była właśnie literatura SF.

Teza jest przewrotna, bo brak SF we współczesnej literaturze jest raczej skutkiem, niż przyczyną, ale obawiam się, nawet jeśli jest to tylko barometr nastrojów, to wyraźnie wskazuje on, że próby podniesienia poziomu kształcenia spełzną na niczym. Skończy się na przestawianiu mebli, administracyjnych reformach, awanturach z nauczycielami, zamieszaniu – lecz skutków w postaci trudniejszych lekcji i klasówek w szkołach nie będzie. Społeczeństwo od dawna nie ma nastroju do siedzenia nad książkami. Nie tylko nie czyta podręczników, ale Stanisław Lem, niegdyś kultowy autor, dziś ledwie gdzieś tam dzwoni czytelnikom. Niegdyś młodzież zabawiała się budowaniem modeli rakiet, dziś podziwiam tatusiów ćwiczących mieczami... Dobrze i to, ale czy gdyby dać im zadania z czasów młodości ich dziadków, „ciepło spalania paliwa jest takie, na jaką wysokość rakietę polecie”, pewnie ciepnęliby po łbie tymi mieczami. Skutek czy w jakiejś części przyczyna? Prorokuję, że dopóki ludności Kraju Przywiślańskiego nie wróci w jakimś stopniu ochota na lektury futurologiczne, pozostanie zasada „matura to bzdura”.

Gdyby ktoś mnie pytał o sympatie polityczne, to zaczynam się widzieć jako przedstawiciel jakiejś „trzeciej opcji”, taki czytelnik śmiesznej literatury o rozwiązywaniu konkretnych problemów, mający pełną świadomość, że chcą go zrobić w konia walczący zarówno z globalnym ociepleniem, jak i o patriotyczne wychowanie. Ani jednych, ani drugich nie rusza, że osiągnęliśmy w tym roku dwudziesty stopień zasilnia. Nie zająknęli się, że gdyby konsekwentnie, przez to ćwierćwiecze wolności uczyć dzieci rolników informatyki, może mielibyśmy z głowy KRUS. Ścisłe wykształcenie załatwiłoby nam znaczną część problemów z bezrobociem, lecz cóż, ważniejszy jest gender albo nauka religii.

Jako wyobcowany przedstawiciel inteligencji technicznej nie mogę sobie nawet pozwolić na postawę buntownika bez powodu, wedle Kukiza. Niestety wiem, co zrobić. Jeśli chcę być uczciwy, głosuję na jakiejś „mniejsze zło” czy ciepłą wodę w kranie. Niestety, rządowi PiS-u nie wróżę trwałości, bo to powtórka z rozrywki.

Nie ma we mnie emocji, bo to nie moje mały i nie mój cyrk. Jeśli politycy nawalają się łopatkami w swej piaskownicy i nie robią niczego znaczącego, pies ich trącał.

Puenta jest taka, że przedstawiciel inteligencji technicznej wie, że ważne społeczne przemiany dzieją się na poziomie emocji, a rozum może pomóc te emocje tylko wywołać. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie... Nadto przekonany jestem, że tylko edukacja publiczna zgodnych i dobrych robi obywateli.” To fragment aktu fundacyjnego Akademii Zamojskiej, rok 1600 (za Wikipedią). Ta mądrość brzmiała mocno pod koniec XVIII wieku, gdy Rzeczpospolita się waliła, i gorączkowo niektórzy próbowali ją naprawić.

Trochę paradoksalnie w epoce zimnej wojny rozbudzono – można powiedzieć – znacznie szlachetniejsze marzenia rozwoju dla całej ludzkości. Nie wiem, jak powszechne były, na ile towarzyszyły ludziom na co dzień, jednak pamiętam jeszcze ten dzień, to był 16 lipca 1969 roku, gdy wszyscy mi znani ludzie wisieli przy telewizorach i oglądali transmisję z lądowania na Księżycu.

Nie wiem, czy od tego ludzie zaczną się uczyć, lecz nikt nam nie zabroni przypominać. Przynajmniej spędzimy czas na pięknych marzeniach, a nie na słuchaniu wrzasków skłóconych polityków.

Adam Cebula